

Jesień w krainie olbrzymów

Ilekcroć, po całodniowej podróży z mojej podgórskiej wsi, wkraczam na asfaltową drogę łączącą Hajnowkę z Białowieżą ulegam bardzo sugestywnemu wrażeniu, że oto nagle całkowicie zmieniają się rzeczywiste proporcje otaczającego mnie świata i mnie samej. Czuję się jak Guliwer w krainie olbrzymów. Gwałtownie maleję a wszystko wokół staje się większe. Uczucie to wiernie towarzyszy mi podczas całego pobytu w Puszczy, aż do momentu, gdy wracając do domu pozostawiam za sobą ostatnie puszczańskie świerki. Można powiedzieć, że wszystko powraca do normy, ale im częściej jestem w Puszczy tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to właśnie w niej wszystko nabiera prawdziwych, pierwotnych proporcji a nasze, ludzkie tzw. normy są w istocie czymś nienaturalnym, niebezpiecznym dla innych współmieszkańców naszej planety. Dawniej ludzie na każdym kroku odczuwali respekt i podziw dla otaczającej ich przyrody, mieli świadomość swojego związku ze wszystkimi istotami, wzajemnych współzależności i własnej kruchości. Dziś ta pradawna mądrość ustąpiła głupiemu zadufaniu i pewności niezachwianej potęgi. Człowiek jest w swoim mniemaniu „olbrzymem” w krainie liliputów i trzeba mu dopiero wielkich kataklizmów, powodzi, trzęsień ziemi, erupcji wulkanów, huraganów, by na chwilę odkrył właściwe proporcje.

Dla mnie miejscem rytualnego powrotu do tych pierwotnych proporcji jest wjazd do Puszczy Białowieskiej. Myślę, że nie jestem jedynym uczestnikiem tego rytuału, wielu ludzi przybywa do puszczy w tym celu świadomie lub nie. Myślę też, że wielu naszym politykom, decydującym o wyborze drogi jaką powinien zmierzać nasz kraj przydałoby się takie doświadczenie.

W połowie września tego roku, kolejny już raz stanęłam u bram puszczy, zadarłam głowę do góry szukając wzrokiem czubków wiekowych drzew i poczułam się mała jak dziecko. Dotarłam do mojej krainy najprawdziwszych olbrzymów, do krainy dzieciństwa wszystkich ludzi, do domu. Spędziłam tam kilka dni. Jak zwykle o wiele za mało, by zaspokoić moją własną, egoistyczną potrzebę kontaktu z domem, z całą rodziną bratnich istot, które spotykałam podczas samotnych, wielogodzinnych wędrówek po lesie. Właśnie rozpoczęło się rykowisko jeleni, pod wieczór cała puszcza dyszała, postękiwała i porykiwała gardłami puszczańskich jeleni. Na głowę przy każdym podmuchu wiatru sypały się z drzew tysiące dojrzałych żołądzi, świerkowych i sosnowych szyszek, zapowiadając przyszłoroczną eksplozję życia. W głębi lasu, zwabione mnogością pożywienia, buchtowały hałaśliwe dzicze rodziny. Co pewien czas na leśnej drodze pojawiały się zaintrygowane moją obecnością, lecz w każdej chwili gotowe do ucieczki, sarny. Czarne dzięcioły waliły w pnie jak w bębny i przelatowały z charakterystycznym trr..., trr... z miejsca na miejsce. Po całej puszczy wędrowały raz powolne, innym razem nadspodziewanie energiczne żubry, pozostawiając po sobie zdeptaną trawę, połamane gałęzie i olbrzymie placki odchodów, które „czyhały” na moje buty lub koła roweru służącego mi jako środek lokomocji. Samotny ryś zaszył się pod jednym z wielu imponujących puszczańskich wykrotów a wilcza wataha donośnym wyciem wyznaczała granice swojego nowego rewiru w okolicach drogi Sinickiej. Opodal, imponującej urody świerk tulił się do smukłej, prześlicznej sosny. Nad zaskakująco dziką rzeką leśną, korzystając z przepięknej pogody i nieobecności ptaków, swoje cieniutkie nici rozsnuwały pająki. Nad Babią Górą – puszczańską wsią, ponad głowami zajętych kopaniem ziemniaków ludzi, krążył orlik, wypatrując ofiary. Tym samym zajęte były myszolowy, szybujące w ósemkę ponad Kosym Mostem, który wraz z sąsiadującymi terenami już w przyszłym roku miał się znaleźć w powiększonym Białowieskim Parku Narodowym, a na skutek ostrego sprzeciwu Dyrekcji Lasów Państwowych prawdopodobnie się nie znajdzie.

Wszystkie te przejawy niezwykłego bogactwa natury, jej hojności i pierwotnej mądrości, szczególnie ostro kontrastowały z dziełami ludzkich rąk, które spotykałam na każdym kroku mojej puszczańskiej wędrówki, uparcie przypominające mi o „olbrzymach” uzurpatorach. Wzdłuż leśnych dróg ciągnęły się stosy pociętych na metrowe kawałki olch i brzoź. W głębi lasu połyskiwały świeżym drewnem,

starannie obciosane z kory, potężne pniaki po wyciętych świerkach. U wlotu wielu dróg „śmiercią lub kalectwem” groziły mi tablice informujące o pracach zrębowych. Za nimi na placach drzewnych leżały olbrzymie, nie objęte moratorium na wycinkę, kilkusetletnie sosny jakich nie widziałam w żadnym innym lesie. Na obszarze planowanego powiększenia BPN, głębokie na ponad pół metra, koleiny wyryte w żyznej, wilgotnej puszczańskej ziemi świadczyły o używaniu, zabronionych tu, ciężkich ciągników do wywózki drewna, tzw. LKT. W wielu innych miejscach, szczególnie tych podmokłych, wpadałam w takie rowy i rozjeżdżone niecki, pozbawione roślinności, gdzie pojazdy „olbrzymów” zmieliły i przenicowały powstające tysiącami lat kolejne warstwy gleby i mikroorganizmów. Zmierzając w najbardziej odległe, północne rejony puszczy, zaintrygowana swądem spalenizny odkryłam powywracane drzewa z zupełnie spalonymi korzeniami efekt wielodniowego pożaru torfowego podłoża. Przyczyną pożaru było najprawdopodobniej (nie mające specjalnego sensu) palenie gałęzi wyciętych drzew. W pobliżu upraw leśnych, tam gdzie człowiek próbuje przechytryć naturę (cytat z ministra OŚZNiL), walały się po lesie dziesiątki porzuconych plastikowych osłonek zdjętych z młodych drzewek i puszki po repelentach. W innych miejscach, na drodze moich wędrówek, wyrastały kilkusetmetrowe płoty chroniące uprawy przed zwierzyną, chroniące las przed Lasem. Takie spotkania przypominały mi nieustannie o zmianach jakie zaszły w nas - ludziach, o naszym odejściu z kręgu wszystkich istot i tak zabójczym dla naszej planety, wywyższaniu się. O naszej niechęci do uczenia się od przyrody, o traktowaniu jej z nonszalancją i pogardą. Przypominały mi o tych szczególnych cechach, z których nie wiadomo dlaczego jesteśmy dumni i są wspólne dla nas wszystkich bez względu na profesję jaką wykonujemy. Spotkania te prowokowały mnie też do zadania pytania: jaki huragan, jaki potop, jak wielka globalna katastrofa musi nas dotknąć, byśmy na stałe powrócili do pierwotnych proporcji, odnaleźli w sobie szacunek do otaczającego nas świata i współodczuwanie ze wszystkimi, żyjącymi wokół nas istotami?

Sabina Nowak